

# ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XVIII.

Warszawa, dnia 8 maja 1926 roku.

Nr. 19.

ALEKSANDER ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ Z CZASÓW PRZEDWOJENNYCH

## BEZ SERCA.

19)

Upewniały ją w tym domyśle jego przelotne marsy i mimy zniecierpliwienia, na które czyhała. Choć nie mściwa, nie kłótniwa i w pożyciu zgodna — z właściwą sobie rancunerie notowała je sobie w pamięci, konkludując:

— Odetchnąłby, gdyby nazawsze pozbył się mnie z domu. A gdybym umarła, ożeniłby się z pewnością z jakąś małą mieszczką, z nieestetyczną pokraką z jednej sztuki. Zosia Horska! Oto żona, stworzona dla niego.

Lecz głównie buntowała się przeciwko niewyrażonej nigdy, lecz odgadywanej przez nią ogólnej opinii, zapożyczonych od definicji krewnych, iż ona serca nie posiada. Ten wymawiany jej od dziecka brak serca — to była stała jej pięta Achillesa, na którą nadeptywali jej wszyscy, a przeciwko czemu ona najkategoryczniej protestowała z buntem:

— Głos ogółu — to nie przysłowiowy głos Boga. To głos szatana.

— Rzeczywiście! — ironizowała. — To ja jestem djablicą, a moja siostra, bratowa, brat i szwagier — anioły przezemnie krzywdzone. Rzeczywiście!.. To ja jestem megierą. Choć nigdy nikomu nic złego nie wyrządziłam; nikogo nie obmawiałam; od usług się nie uchylałam. To ja jestem krzykliwą, nietaktowną, swaną jędzą, a poczciwi państwo Iksowie, Igrekowie i t. d. myślą tylko o tem, aby mi stopy ukwiecić. Jestem złą żoną, złą siostrą, złą matką, nieporządną marnotrawnicą i piekielnicą. A cały dom oddycha spokojnie jedynie, kiedy z Warszawy wyjeżdżam. Doskonale.

Doszła do przekonania, że żyć w spokoju bez cierpień i bólów można jedynie zdala od znajomych; o mile od ich cruelles observations, od ich zdawania sobie sprawy i podkreślania jedynie wad bliźniego i nieuznawania niczych zalet, za wyjątkiem własnych.

I ta jej wieczna rancunerie ranionej mimozy zrodziła w niej ostateczną decyzję zerwania z całym złym światem, a raczej z całym znanym jej lilipucim światkiem. Epilog abdykacji ze wszystkich jej dawnych karlich ambicyjek i dążeń.

— To oni — winiła ich — rzucili mnie, oskarżając o oziębłość, w ramiona kochanka. To oni w postaci Kunegundy obrzydzili mi go tak, że z nim zerwałam.

— Warto cierpieć — zdecydowała — w imię jakichś ideałów w większym stylu; lecz niema sensu denerwować się życiowemi idjotyzmami.

Doszedłszy do tej konkluzji, z właściwą sobie stanowczością, jak ongi z rodziną, zerwała teraz stosunki ze wszystkimi znajomymi, którymi niedawno temu tak się szczyciła. Rozczarowana przestała składać im wizyty i skasowała swoje jours fixe'y.

Życie jej stało się podobnem do wykarczowanego zagajnika, niczem nieusianego. Zamiast dawnych ostów i badyli — raziło teraz pustką i piachami Sahary, cmentarza bez życia.

Bo nawet Robinson Kruzoe na bezludnej wyspie starał się o pewien modus vivendi. Miał swego Piętaszka. Pracował, pełen planów i zamierzeń, pomysłów i udoskonaleń swego życia.

A niezależnie od tego wszystkiego — siedział na swojej bezludnej wyspie jedynie z musu. I za ukazaniem się zdala pierwszego statku — wyciągnął do niego z rozpaczą tęskne ramiona i pomknął na nim... do ludzi.

— A ja?

Poczęła się obawiać swojej apatji. Bo nie miała przecież nawet tych wszystkich prac i zajęć Robinzona.

Bo ten umiejętnie przez nią nakreślony trybik codziennego marjonetkowego życia — toczył się już własnym impetem, sam przez się, jak perpetuum mobile bez jej czynnej dyrekcji.

Bo przeciwko jej wtrącaniu się do wychowania córki protestowały pod względem higienicznym patentowane freblówki. Pod względem umysłowym kompetentniejsze od niej laureatki najpierwszych szwajcarskich pedagogicznych uczelni. Pod każdym względem płoszyły jej dyletantyzm najęte doskonale płatne przez jej męża specjalistki, uzbrojone w zawodowe opatentowane metody i praktyki. I pani Hela w roli piątego koła u wozu, znudzona romansidłami francuskimi, zdecydowała w końcu, zrywając się z krytego perłowym adamaszkiem szezlongu:

— Nie, nie. Wróbla Wola czy też Warszawa! Zamienił stryjek na siekierkę kijek. Z deszczu pod rynnę. Nie, nie. Mam już po szyję tego ptasiego mleka na perłowym adamaszku. Udławi mnie w końcu. Przecież nie będę wiecznie z angielskimi solami udawała une femme incomprise, jak zbożona bankierowa. To jest już zbyt ancien régime.

Przypominała sobie, że jeszcze przed zamążpójściem wobec braku konkurentów zaczęła myśleć w ostatnich czasach panińskich o scenie, zachęcona powodzeniem, jakie wzbudzały w nielicznych skromnych domach sąsiedzkich jej popisy wokalne, zupełnie dyletanckie, kultywowane jedynie pod naiwnym kierunkiem domowej nauczycielki „do wszystkiego“.

I pani Hela w swojej roli piątego koła, syta ptasiego mleka, znudzona jakimś przenudnem francuskim romansidłem, zrywając się ze swego perłowego szezlonzka, zdecydowała z właściwą sobie stanowczością i energią, zdobytą w dostatku, na jakiej ongi we Wróblej Woli jej zbywało.



— Bez zwlekania, dziś jeszcze dowiem się od Quira o adresie Myszugi. Jutro udam się do niego. Jeżeli uzna, że głos mój nadaje się do studjów — od jutra rozpoczynam z nim lekcje.

Przypomniała sobie sceptyczne uśmiechy, z jakimi jej bratowa i siostra odnosiły się do jej tryumfów wokalnych we Wróblej Woli.

— Ha! Zobaczmy! — zacięła się, drżącą ręką naciskając nazajutrz dzwonek u drzwi Myszugi — Nie odrazu Kraków zbudowany.

Pierwszy majster w mieście, słynny ex-tenor, olśniony urodą pani Heli, jej strojem, wielkimi manierami i... nadzieją dobrych honorarjów, upewnił ją po próbnym egzaminie, że posiada świetny materiał głosowy, który przy odpowiedniej pracy może rokować najlepsze nadzieje. Nie należy tylko traktować sztuki za zabawkę i nie zrażać się trudnościami zadania.

— Zwykłam zwalczać przeszkody — odrzekła mu wzruszona. — Nigdy do niczego nie zabieram się połowicznie.

— Ha! W takim razie nie wykluczona będzie i sceniczna karjera pani.

— Czy pan mówi to serjo?

— Zupełnie serjo. Podobne żarty byłyby niesumiennością.

— A więc zwyciężę przeszkody — podała mu na pożegnanie rękę. — Muszę. Do widzenia. Do jutra. Przekona się pan, że nie mówię nigdy na wiatr. Jestem uparta. Wytrwam.

Zbiegała nieprzytomna ze schodów. W uszach jej szumiało:

— Sceniczna karjera... Bóg się ulitował... Alea jacta est... Scena, scena! — powtarzała w upojeniu. Być człowiekiem! Pracować i zawdzięczać wszystko samemu sobie... Sława, oklaski, kwiaty, pochwalne krytyki i wzmianki w dziennikach... Ogólne uznanie, sława, sława!

I jak wobec tego wyglądała jej obecna karjera życiowa? Wegetacja na tym adamaszkowym szezlongu i kilka corocznych sukien od Hersego!

— Samoistny byt, samoistne stanowisko! — oczadzała się zawrotnymi myślami, które w mózgu jej huczały. — I wszystko to zawdzięczać własnej pracy i wytrwałości w zwalczaniu przeszkód! Wyfrunąć z tej złoconej klatki!

— A jeżeli dla ewentualnych studjów zagranicznych trzeba będzie porzucić na jakiś czas dom, męża i córkę?

— Et! Mąż! Wytrzymam bez niego, oczywiście i on bezemnie — roześmiała się z tą pewnością, z jaką większość żon uważa swoich małżonków za *quantité négligeable*.

Pożycie ich małżeńskie nie należało do najgorszych. Pani Hela była zbyt rozsądną, aby być nieznośną i zbyt taktowną, aby dopuszczać do jakichś scen wybuchowych; choć nieraz drażniła ją obcość męża, brak delikatności uczuć w potocznych wypadkach i jego złe wychowanie, dochodzące nieraz do pospolicności.

Lecz ratowała go najczęściej małomówność, (często także irytująca), zewnętrzny chłód i absolutny brak czasu do przebywania z żoną. Z tego też powodu wpływała jego ustępliwość w sprawach domowych. Z braku też czasu wynikał brak wszelkich małżeńskich kolizji i nieporozumień. Na braku też czasu opierała pani Hela słuszną wiarę, że mąż jej nie zdradza i że w gruncie jest do niej przywiązany. Lecz jej czasową nieobecność strawi dość lekko, a nawet w spokoju uspiętego bez niej domu wytchnie i odpocznie.

— Lecz Hania? Czy matka ma prawo opuszczać dziecko? — jakaś łza uwięzła jej w gardle. — Nie porzucam jej dla zabawy, a tęsknotę w sobie zduszę. Lecz czy powinnam to czynić? Czy to jest w porządku? — badała się w poczuciu swojej stałej obowiązkowości.

— No, przecież jeszcze nie wyjeżdżam. Do wyjazdu jeszcze bardzo daleko. Przedewszystkiem trzeba pracować, bardzo pracować. Nie święci garnki lepią. A potem — zobaczymy. Sztuka! Sława! Oklaski, kwiaty! — oczadzała się już po pijacku obojętniona całymi godzinami, dniami i nocami.

Z właściwą sobie energią i wytrwałością, nie tchórząc przed tytanicznością tych marzeń, zabrała się do pracy i — dzięki wrodzonym zdolnościom do wszystkiego — zdumiewała tempem zdobywanych plonów Myszugę, nauczycielkę włoskiego i profesora teorii muzyki.

Zerwała ostatnie już stosunki towarzyskie, które wobec jej obecnych zadań — wydawały się zabawą w „ciuciubabkę“ lub w „cztery kąty, a piec piąty“. Nie złożyła ani jednej wizyty. Zamknęła dom na cztery spusty. Pracowała. Nie opuszczała ani jednego wykładu, jako najpilniejsza uczenica szkoły dramatycznej. Uczęszczała na kursy rytmiczne. Studjowała mimikę i giesty w uczelniach kinematograficznych.

Po upływie dwóch lat, w ciągu których nie wyprawiła ani jednego śniadania z baronem, z kwiatami i z wynajętą wyfrakowaną służbą, a jedynie urządziła kilka przyjęć z Myszugą, z Quirem i z kilkoma krytykami muzycznymi, którzy mogli ewentualnie się przydać — wystąpiła na koncercie w sali cyklistów na cel Przytuliska dla starych nauczycielek.

A że umiała już, jak pacierz, całą partję Małgorzaty, wybrała na pierwszy występ trudną arję „przy kołowrotku i z klejnotami“. Ten pierwszy występ się udał. Powodzenie osiągnęła nadspodziewane. Tak we wszystkich hazardach wygrywają najczęściej debjucanci, kuszeni przez diabła do dalszej zguby.

Kilku krytyków *minorum gentium*, pod wpływem agitacji bardzo usłużnego Quira, zaszczyliło dzięki śniadaniom swoją obecnością tę drugorzędną salę koncertową i zawyrokowało w kilku wzmiankach dziennikarskich bardzo pochlebnie o talencie, który „mimo tremy, nieodłącznej od pierwszego występu, świadczy o dobrym kierunku i niezawodnej przyszłości obiecującej debjucantki“.

— „Wczorajsza debjucantka — informowały dzienniki — poza młodzieńczym wdziękiem (pani Hela liczyła już sobie wiosen 32), poza wyjątkową dystynkcją i urodą — jest obdarzona przez hojną naturę pięknym głosem, niezupełnie jeszcze wyszkolonym, z niewyrównaną jeszcze emisją brzmienia i z dyletanczkim traktowaniem kantileny. Lecz przy odpowiedniej pracy i studjach powinna dojść do najlepszych wyników. Szkoda by było po amatorsku marnować materiał, nadający się do szerszej areny“.

Lecz krytyka — pomimo protekcji nie mogłaby się zdobyć na tak stanowczy hazard, gdyby nie upoważniło jej do tego tonu, poniekąd pochlebnego, zachowanie się publiczności przychylnie i zachęcające.

Bo ta lubiąca nowalijki przeciętna publiczność dość szczerze oklaskiwała wrodzony wdzięk, widoczną kulturę, piękną toaletę i świeżość debjucantki bez odbrobinki pudru i bez żdźbła pomadki karminowej na wargach, której tak suto używają wytrawne aktorzyce. I jedynie najbliżsi znajomi i przyjaciele bez żdźbła zaślepienia, krytykując siłę jej głosu, zbyt wątpliwo do karjery śpiewaczej i postać zbyt nikłą na deski sceniczne — zadecydowali bez apelacji: (D. c. n.).



6) **ŻÓŁTA TWARZ.**

— Widzi pan... — klekotał drewnianym głosem Kawasaki — będę z panem zupełnie szczerzy, jak przystało z przyjacielem lat dawnych! Zbliżamy się zarazem do jądra sprawy, poczem ze względu na spóźnioną porę będziemy mogli, jak sądzę, udać się na dobrze zasłużony spoczynek... Raczy pan powiedzieć kelnerowi, aby przygotował rachunek.... Lecz przedtem niech nam doleje jeszcze wina.... musimy skończyć.... teraz dopiero ma dobrą temperaturę!

Martwo, jak automat, trąciłem napełnioną szklanką w szklankę Kawasakiego, którą z łaskawie uprzejmym gestem ku mnie podniósł. Z trudem przełknąłem łyk wina, gardło miałem zdławione. Znow dusiła je straszliwa zmosfera...

Kłęby dymu z cygar i papierosów, jarzących się, niczem w mgłę potworne, krwią czerwone ślepia, osnuwały salę. W mgłę tej, jak węże o długich, cienkich szyjach, kołysały się serpenty i wirowały jakieś zamazane twarze....

W mgłę tej skrzeczał Kawasaki:

— Zdrowie kończącej się Europy!

Z trzaskiem pękła szklanka w mojej kurczowo zaciśniętej dłoni....

— Czy nie skaleczył się pan przypadkiem? — zatroszczył się Japończyk, poczem, stwierdziwszy, że mi się nic nie stało, skrzeczał dalej. — Jeżeli to prosektorjum rozkładu społecznego, które wy nazywacie dancinżem, jest bezwątpienia początkiem końca Europy, to wojna, o której miałem już zaszczyt wspomnieć panu — wojna przyczajona, która dziś bieli wam upiornie lica, a jutro wam je krwią zrumieni, — będzie istotnym końcem Europy....

— Na miłość Boską, Kawasaki! — jęknąłem. — Kto będzie walczył z kim i o co?

— Wszyscy z wszystkimi o wszystko!... — pomyślałem w coraz gęstszej mgłę klekot drewnianego głosu.

Jarzyły się potworne, krwią czerwone ślepia...

Kołysały się węże o długich, cienkich szyjach...

Wirowały jakieś zamazane twarze...

Na pograniczu dwóch światów: realnego i widmowego trzepotało się w męce, niczem motyl wbijany na szpilkę, moje przerażone serce...

— Wojna ta, której grozy i zniszczenia niezdolna jest ogarnąć najdziksza fantazja, — spokojnie wbijał mi w serce zatrutą szpilkę Kawasaki — wojna, która wstrząśnie głębinę mórz i błękity powietrza, na którą wysili się cały genjusz techniczny Europy — wojna ta zniszczy współczesną Sodomę, niczem ogień niebieski, który pożarł w starożytności to przeklęte siedlisko zbrodni i rozpusty!... Wymarłe kwitnące miasta i sioła, obrócone w perzynę muzea i świątynie, całe kraje podobne pustyni.... Powietrze zatrute gazami, przesycone zgnilizną rozkładających się, niepożrebanych trupów... Słońce przesłonięte chmurą kraczącego ptactwa.... To, czego nie dokonał demon mordy, napećniały, rumiany krwią, staje się pastwą jego bliźniaczych braci — bladych, nigdy sytych: głodu i moru.... Potworne, opuszczone przez Boga cementaryzisko.... gromady nieszczęsnych potępieńców — głodnych i nagich, zżartych przez obłęd i chorobę....

jedni tańczą upiorny tan wśród grobów, inni pożerają się wzajem, jak dzikie bestje, inni wreszcie rozpaczliwie wyciągają szkielety rąk ku górze i wyglądają daremnie pomocy z nieba, które ich przekłęło...

— Przestań, na Boga, okrutny szatanie! — wydarło mi się ze zdławionego gardła.

— „Inni szatani byli tu czynni...“, jak brzmiały słowa waszego podniosłego horalu, które mi pan kiedyś cytował, a które głęboko wryły mi się w pamięć, — rozbrzmiał w mgłę przyćmiony głos Kawasakiego. — Zresztą już kończę. Na zakończenie dodam tylko, że wówczas właśnie przyjdzie ratunek ze Wschodu... przyjdziemy my!

— Kto „my“? — w męce zatrzepotało moje serce.

W ucho wślizgnął mi się przenikliwy syk pochylonego, jakby drapieżnie przyczajonego, Kawasakiego:

— Żółte twarze....

Blady październikowy świt sączył się wszystkimi szczelinami. Jego mgliste światło, wespół z kłębami dymu, ćmiło jaskrawy blask elektryczności. Większość lamp zresztą była dyskretnie przysłonięta lub zgaszona. W puściejacej zwolna sali panował zachęcający półmrok, który tu i ówdzie w zacisznych łózkach jeszcze skwapliwie wykorzystywano. Już zalegało jednak ołowiane znużenie, już upiornie bieliło osowiałe twarze, już ze zmiętych, zastygłych sylwetek czyniło jakieś nierealne koszmary. Mroczna, rozdziawiona paszcza estrady, po odejściu orkiestry, ziała pustką otwartego grobu. Cementarny zapach rozwłóczyły powiędłe kwiaty....

Groza tężała w zgniłym powietrzu i kładła mi się na pierś, w której, niczem motyl zamierający na szpilce, zamierało serce...

Przed rozszerzonymi oczyma, teraz już z całą wyrazistością, przesuwająca mi się, niczem wstęga kinematograficzna, wizja okropnego snu, czy okropnej rzeczywistości — sam już nie wiedziałem, wszystko się zmycało: świat snu i świat jawy. Patrzyłem na żółtego człowieka, który spokojnie, bez śladu znużenia, bawił się złotym brelokiem dewizki, przyglądając mi się z uprzejmym uśmiechem, i wyteżalałem mózg, w bolesnym naprężeniu starając się odgadnąć, czy jest to zmosfera senna, czy też stało się już to...

— — Europa się skończyła...

— — muchy wyniszczyły się wzajem w obłędnym szale....

— — z sieci, przyczajony, wyłania się żółty pajak....

— — żółta twarz....

— Wówczas, jak powiadam, przyjdziemy do was... — zaklekotał znow drewniany głos. — Przyjdziemy tu i zrobimy porządek. — Sami nas poproście!.... Jeżeli wzniosłem poprzednio toast na cześć kończącej się Europy, co pana może dotknęło, przyja-



cielu, to nie uczyniłem tego, jako dziki barbarzyńca, za jakiego z pewnością miał mnie pan w tej chwili... Na gruzach starej Europy — zimny głos Kawasakiego nabrał ciepłych tonów i stał się prawie uroczystry — wierzę w to niezłomnie, z morza krwi i łez, dźwigniony siłą naszego ramienia i ducha, powstanie nowy, lepszy świat, przejaśniony prastarem, niechaj będzie błogosławione! światłem Wschodu. *Ex oriente lux...* Przekławszy siebie samych, będziecie nas jeszcze błogosławili!... Sami wyciągniecie do nas ręce! Gdybyście zaś nie wyciągnęli, to i tak przyjdziemy... — drapieżnie zaśniły w niewyraźnym uśmiechu zęby Japończyka. — Jest nam bardzo ciasno... i mamy w świecie wielką misję do spełnienia, powierzoną nam przed wiekami przez naszego Wielkiego Nauczyciela!... Oto wszystko, co miałem panu do powiedzenia, co musiałem mu powiedzieć, jako przyjacielowi i jako przedstawicielowi narodu, który, jedyny może wśród narodów europejskich, ma także misję do spełnienia. Bowiem z błogosławionych prochów jego męczenników i bohaterów spływają w dusze jego najlepszych synów promienie boskiego światła; bowiem czuwa nad nim w zaświatach straż potężna i ona go uchroni od potopu!... Jaka jest ta misja, dowiedcie się w swoim czasie.... Tymczasem czuwajcie, bądźcie silni duchem i ramieniem, nie wiecie bowiem dnia ani godziny!... A teraz do domu, przyjacielu! Bądź pan dobrej myśli nawet w najgorszych chwilach! Pokój twemu czystemu sercu poety i żołnierza! — uściskał mi mocno rękę i przeciągle popatrzył w oczy.

\* \* \*

Znaleźliśmy się na ulicy.

W mętnej mgłę świtu jesiennego latarnie samochodów i lampy elektryczne jarzyły się, jak potworne ślepiec czyhających zewsząd demonów.

Ale w duszy mej rozlany był już błogi spokój....

— Odwiozę pana do domu! Jak pan się czuje? — odezwał się troskliwie Kawasaki.

— Dziękuję, dobrze... jednak nie zasnąłbym teraz... czuję gwałtowną potrzebę ruchu i powietrza... przejdę się po mieście.

— W takim razie, z zalem, nie będę mógł panu towarzyszyć! Mam dziś zrana ważną konferencję i muszę trochę wypocząć. Po południu zaś wyjeżdżam.

— Więc żegnam pana, Kawasaki, i... dziękuję panu!

— To ja panu dziękuję, mój przyjacielu, i mówię ci tylko: do widzenia!... Pamiętam kwitnące wiśnie heidelberskie.... pamiętam nasze wieczory i rozmowy... pamiętam wszystko!.. — w głosie Japończyka brzmiała serdeczność, prawie wzruszenie. — Racz mi pan wybaczyć, jeżeli w czym cię dotknąłem, sprawiłem ci przykrość! Byłem z panem brutalnie szczerzy, ale chciałem potrząsnąć twą duszą, jak chciałbym potrząsnąć duszą twego wielkiego narodu, abyście wobec groźnego niebezpieczeństwa nie byli jak inni, jako ów głupi struś, chowający trwożliwie głowę w skrzydła... Jeżeli do mego obrazu użyłem może zbyt jaskrawych barw, tem niemniej jest on wierny, aż nadto wierny, o czym przekona was przyszłość — obawiam się, że już niedaleka.... A wtedy... zobaczymy się! Nie zapomnę o panu... Do widzenia, mój przyjacielu! *Do widzenia!!!*

Znów przeciągle popatrzył mi w oczy. Potrząsnął mnie mocno za ramiona, ni to, jakby brał mnie

w uścisk braterski, ni to, jakby mnie budził z głębokiego snu. Skinął na taksometr, wskoczył lekko na stopień, szybko zatrzasnął za sobą drzwiczki. Auto ruszyło. Zza szyby mignęła mi jeszcze uśmiechnięta twarz Kawasakiego, jego koścista ręka, którą przesyłał mi pożegnanie — i samochód zniknął w mgłę...

U wrót dancingu, rzekłbyś — porzucony strój zapustnej larwy, pozostał upiorny koszmar.

Koszmar *żółtej twarzy*....

\* \* \*

Błądziłem wśród staromiejskich uliczek, rozmazanych w mgłę, ni to dalekie wspomnienie, ni to marzenie senne.

Od majaczącej w dole Wisły szedł chłodny, rzeźwiący wiatr.

W pustce, zrzadka tylko, przesunął się, jak cień, niewyraźny przechodzień. W zgniłym brzasku poranka dogasały latarnie gazowe. Rzekłbyś, uśmiechały się z poza szyby — *żółte twarze*...

Jeszcze przesunął się przed zmęczonemi oczyma koszmar. Jeszcze w zmęczonym mózgu zaciężyło ołowiem wspomnienie. Jeszcze czuła pierś zmęczona ucisk zmory.

Lecz już w duszy rozlewał się błogi spokój.

Spokój człowieka, który patrzył w twarz śmierci i nie drżał...

Spokój wobec nadciągającej burzy, która drzewa potężne obala, lecz i zduszonej piersi odetchnienie daje i błogosławieństwem kwiatom jest...

Spokój wieczystej, zielonej runi życia, która z wiosną pokrywa cmentarną śmierci pleśń...

Na Rynku Starego Miasta, skroś błamy porozdzieranej mgły, powitało mnie słońce, radośnie jarzące się w maleńkich szybkach. Spłynęło po dachu Baryczkowej kamienicy, zajrzało ciekawie przez uchylone okiennice do imci pana Fukierowego azylum, figlarnie wyzłociło pośrodku placu wzniesiony miecz syreny. U stóp jej z wesołym ćwierkiem pluskały się w fontannie wróble.

Rozdzwoniła się sygnaturka na świętojańskiej wieżycy, jako dzwoniła mi przed wielu laty — małemu chłopcu, kiedym, idąc do szkoły, wstępował do Katedry pomodlić się z naiwną wiarą, że dobry Pan Bóg zsyła czwórki i piątki tym, którzy Go o to proszą, i chroni nieprzygotowanych uczniów od zapytania nauczyciela....

Wszedłem, goniąc widmo własne, wślad dzwoniącej sygnaturki, do ulubionej ongi kaplicy.

Ukląkłem przed Cudownym Chrystusem i modliłem się żarliwie:

*Duszy ginącej Europy bądź miłościwy, o Panie! Ustysz rozpaczne narodów w godzinę śmierci wołanie!*

*Spraw, by z krwawego potopu Ojczyzna moja, jak biała gołąbka arki Noego, w glorii Twej łaski wzleciała!....*

Amen.

K O N I E C.